

Powołaniowe refleksje na Kopieńcu

Lubię chodzić na Kopieniec w ważniejszych momentach mego życia. To piękny szczyt dźwigający się z wielkiej hali położonej w polskich Tatrach w pobliżu Cyrhli Toporowej. Kiedy zbliżała się kolejna rocznica moich święceń kapłańskich, znów poszedłem na tę górę - do swej „świątyni dumania”. Niebo było pochmurne, zaczęło padać, ale zabrałem ze sobą parasol. Z latami człowiek staje się bardziej przewidujący, choć to prawdopodobnie nie całkiem „po góralsku” brać parasol w góry. Na hali pod Kopieńcem zaczęło się przejaśniać i pokazało się słońce. Dogoniły mnie dwa psy owczarskie, pomerdały ogonami, a jeden dał nawet pysk do pogłaskania. Psy na hali tęsknią za ludźmi i są dla nich bardzo przyjazne. Ludzie na szczytach też są lepsi od tych w dolinach. Za psami ukazał się pasterz ze stadem owiec. Scena jak z Biblii: pasterz na czele, za nim jego stado - około stu owiec. Kto wie, może jedna zaginęła? Byłem już nieco w górze na zboczu Kopieńca, gdy pasterz zawołał do mnie z dołu na powitanie. Ci ludzie są przyjaciółmi wszystkich, tak jak i ich czworonożni pomocnicy. W dole pozostał krzyż stojący na skraju hali z napisem: „Nic nad Boga 1950”. Tam na szczycie powinien też być krzyż - prosty, drewniany, oazowy. Ale nie było, bo zmiotł go chyba wiatr. Wszystko było jednak rozjaśnione, bo teraz już na dobre wyłoniło się słońce zza chmur.

* * *

Dlaczego dziś znalazłem się na Kopieńcu - w pobliżu parafii prowadzonej przez księży marianów z pięknym kościołem w budowie? Bo przed wielu, wielu laty, w innym miejscu, ale też w górach, pewien młodzieniec usłyszał głos powołania, poszedł za nim, został zakonnikiem i kapłanem, założył następnie Zgromadzenie Księży Marianów, a ja właśnie znalazłem się w nim. Teraz pobiegłem myślą do Podegrodzia koło Starego Sącza, gdzie urodził się Jan Papczyński, później w zakonie Stanisław od Jezusa Maryi. Jak to było z jego powołaniem, jak mogło być? Decyzja pójścia drogą powołania nie przychodzi nagle i łatwo. Poprzedza ją czas głębokiej refleksji, długiego namysłu i walki wewnętrznej. Jest ona wyrazem pewnej już dojrzałości duchowej, możliwej w młodym wieku. Gdy tymczasem tak wielu tkwi w przedłużonej niedorobłości, przyszły sługa Boży podejmuje kroki świadczące o pełnym powagi podejściu do życia. Nie lęka się on ustalić swej przyszłości stanowczym aktem własnego wyboru, ponieważ rozumie miłość Boga, który wzywa go do swej służby. Nie chce się od niej wymawiać, gdyż pragnie, aby Bóg posłużył się nim w swoim zbawczym dziele.

Takie myśli snuje młody człowiek, zanim odpowie „tak” na powołujące słowa Pana. Takiej refleksji oddawał się zapewne Jan Papczyński w czasie krótkiego pobytu w domu rodzinnym po ukończeniu studiów filozoficznych. Wtedy właśnie zrozumiał, że wszystko, co ma dla niego znaczenie, jest nie tutaj - w wiosce rodzinnej, lecz tam - w dalekim klasztorze, w życiu zakonnym, I oto przyszedł dzień, kiedy jego matka zaczęła przygotowywać mu bagaż podróżny. Nie sposób opisać co dzieje się w duszy matki, która wręcza synowi przygotowany przez siebie węzełek i żegna go wyruszającego w świat. Trudno odgadnąć, o czym myśli w tej osobliwej godzinie kobieta, która zaprowadziła swego syna na rozstaje dróg, aby mógł wybrać tę jedyną wskazaną przez Boga. Zapewne z wielkim wzruszeniem i uczuciem jakiegoś niepokoju wręczała Jankowi bagaż jego troskliwa matka. Ze wzruszeniem, bo syn jej wybrał służbę Bożą, a to zawsze wielki zaszczyt i powód do cichej radości dla głęboko wierzącej kobiety. Z niepokojem,

bo jej młody podróżnik znów się wybierał daleko, a tyle już razy spotykały go różne nieszczęścia w tamtym odległym od niej świecie. Toteż z mieszanymi uczuciami wręczała mu ów węzełek, ocierając zapewne po cichu łzy. Co było w owym węzełku, wiemy ze spisu sporządzonego później w domu nowicjackim. Znalazły się tam rzeczy najbardziej potrzebne: ubranie z lekkiego płótna, trzewiki, para sandałów, pasek, laska, czapka, dwie koszule i pieniądze w wysokości 27 florenów. Oprócz tego także dziełka ulubionych autorów Janka - Wergiliusza, Klaudianus oraz Tomasza à Kempis w tłumaczeniu polskim. Na pewno było jeszcze coś do zjedzenia w czasie podróży, bo o tym matki nigdy nie zapominają. Żegnany przez matkę i liczne rodzeństwo (ojciec już nie żył wtedy) opuścił Jan Papczyński gniazdo rodzinne i skierował swoje kroki na południe. Tam daleko na Spiszu, za Starym Sączem - w odległości ok. 50 km od Podegrodzia, leżała jego ważna przystań życiowa: Podoliniec. Strome górskie ścieżki prowadziły do tej przystani poprzez zielone zbocza Beskidu Sądeckiego i poszarpany łańcuch Karpat, nad malowniczym brzegiem Popradu. Wiosna, nieco w górach spóźniona, zaczęła już swój tryumfalny pochód, kiedy młody Papczyński przemierzał te ścieżki. Chłonał ją całą piersią aż do głębi duszy, w której zagościł dziwny spokój spływający z nieba na ziemię. Bagaż podróżny nie ciążył mu wcale, był bowiem przejawem ubóstwa idącego ręką w rękę z zadowoleniem i swobodą ducha. Wędrował zatem z lekkością poprzez wielki ogród pięknych tajemnic - ostrożnie, nieśmiało i cicho, jak przez świątynię. Tak zastała go noc, która „dobrodziejstwem natury przeznaczona jest śmiertelnym do wypoczynku” - jak później to pięknie ujmie w jednym ze swych utworów. Poddał się tej nocy gdzieś nad brzegiem rzeki, a należało iść jeszcze jeden dzień. Zmęczony podróżą, ale i szczęśliwy zarazem, że poszedł za głosem z nieba, zapukał młody Papczyński do furty domu nowicjackiego pijarów w Podolińcu. Potem był nowicjat, śluby, święcenia kapłańskie i założenie nowego zakonu...

Ocknąłem się z zamyślenia. Wciąż byłem na Kopieńcu. Może jeden z chłopców z tej pięknej miejscowości również pójdzie drogą ojca Stanisława? [Ks. Tadeusz Rogalewski MIC, *Z Niepokalaną* - nr 1, wiosna 1995, s. 21].